

Redaktor naczelny:

Dr. ALEKSANDER VOGEL.

Biura redakcyi: ul. Kopernika 7, I. piętro
otwarte od godz. 10 rano do godz. 1
w południe.

Biura administracyi: ul. Kopernika 7, parter
(sklep), otwarte od godz. 8 rano do
7 wieczór bez przerwy

Przedpłata na „Gaz. Nar.” wynosi:

	we Lwowie	na prowincyi	za granicą
miesięcznie	1 zł. 50 ct.	2 zł.	2 zł. 50 ct.
kwartalnie	4 zł. 50 ct.	6 zł.	7 zł. 50 ct.
rocznie	9 zł.	12 zł.	15 zł.

Numer kosztuje 6 ct.

GAZETA NARODOWA

wychodzi w dwóch wydaniach: dla Lwowa o godzinie 8 rano — dla prowincyi o godzinie 7 wieczorem.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATE przyjmują: we
Lwowie: Administracja *Gazety Narodowej* ul. Ko-
pernika 7; w Paryżu: C. Adam Ciborowski 30 rue
de Varenne Paris; we Wiedniu: Hasenstein &
Vogler (Otto Mass) Wahlfischgasse 10 — Rudolf
Mosse Seilerstraße 2 — A. Oppel Grünengasse 13
— M. Dukes Nachf. Max. Angelfeld & Emrich
Lessner Wollzeile 6 — Schallik Wollzeile 11 i 13.
Danneberg, L. Wollzeile 19; w Hamburgu: A. Stei-
ner; w Frankfurtu: N. M. Hasenstein & Vogler i
G. L. Danneberg & Comp.; w Warszawie: Reichmann
& Fendler.

CENA OGŁOSZEŃ: Ogłoszenia zwożące na je-
dnoznaczący wiersz drobnym drukiem lub jego
miejscu 30 ct. — Nadesłane za wiersz lub jego
miejscu 30 ct. — Głosy publiczne za wiersz lub
miejscu 50 ct. — Przytłaczanie korespondency
3 ct. od wiersza.

Z bieżącej chwili.

Lwów 4 sierpnia.

Francuski minister spraw zagranicznych Delcassé wyjechał onegdaj popołudniu ze swoim przybyłym sekretarzem do Petersburga. Na dworcu kolejowym w Paryżu żegnał się z nim kilku członków ambasady rosyjskiej. Dość przeto, w dzisiejszej dobie telegrafów i telefonów, upłynęło czasu, a śladem z wielkich dzienników, nie tylko pół-urzędowych, dotychczas nie wypowiedział swego zdania o tej podróży całkiem i całkiem niespodzianego. Rzeczą to przecie zasta-awiającą. Widocznie nikt z poza wtajemniczonych nie wie, a nawet domyślić się nie zdoła, w jakim celu p. Delcassé wybrał się, i to w tej porze, do hr. Murawiewa.

Wedle telegramu paryskiego z d. 2 bm. sądzą tamtejsze kółka dyplomatyczne, iż p. Delcassé pojechał, aby carowi — przed jego wywiezieniem do Darmstadt — i spotkaniem z cesarzem. Wilhelmem — dać wyjaśnienia w sprawie zbliżenia się Francji do Niemiec, które jakoby w ostatnim czasie dokonało się miało. Możemy ten powód uważać za koncept bardzo dziwny. Przecież może być prawdą, co Gombis przypuszcza, że głównym celem Delcasségo jest ułożyć dyspozycje co do podróży cara na przyszłą wystawę paryską. Już dawniej słychać było, że car ma załatwić sprawę podróży zwłaszcza monarchów Niemiec, Austro-Węgier i Włoch na tę wystawę. Zapisz to należy wiadomości urzędowej, wedle której rosyjski pełnomocnik wojskowy przy ambasadzie rosyjskiej w Paryżu, hr. Frederiks został odwołany a w miejsce nim mianowano, że był wmięszany w szpiegowskie sprawy Dreyfusa.

Z podróży Delcasségo wiąże się zapewne ogłoszona właśnie w *Polit. Corr.* korespondencja petersburska, która widocznie nosi znamiona komunikatu półurzędowego. Czytamy w niej:

„Rozbieranie w paryskim *Figaro* i *Matin* idei ścisłego zbliżenia francusko-niemieckiego, wywarło tak w kółkach rządowych jak i w opinii publicznej wrażenie dziwne — ani przyjemne, ani imponujące. W Rosji poczynają za naiwność polityczną zdanie, jakoby między Paryżem a Berlinem mogło przyjść do ścisłości, zwróconej przeciw Anglii. Porozumienie między Niemcami i Anglią na gruncie spraw afrykańskich i wschodnio-azyjskich, tudzież postępowanie Anglii wobec niemieckich przedsięwzięć kolejowych w Malej Azji, są dla Niemiec zbyt cennymi, iżby się jedynie dla naprawy swoich stosunków z Francją, bez żadnych innych powodów, zapędzały w antagonizm do Anglii. W Petersburgu musiłoby to wywołać fatalne zdziwienie i nieufność, gdyby choć tylko mała

część Francuzów zdolną była, tak łatwo z jednej skrajności przesłaniać w drugą, kokirowała to z Petersburgiem, to z Berlinem.

„Jeżeli heraldzi francusko-niemieckiego ścisłego zbliżenia twierdzą, że sojusz z Rosją gotów tak samo nie ustrzeże Francji od jakiej przyszłej faszody, jak nie ustrzeże od zeszłorocznej, to przecież oni, że jedynym celem zawarcia tego sejsusu było: chronić w danym razie bezpieczeństwo obu państw i nietykalność ich interesów fundamentalnych, nie zaś zapewnić sukces awanturniczych, nieodpowiadających czasowi przedsięwzięć jednej czy drugiej sojusznicy. Dalej, faktem jest, że gabinet petersburski w toku historii faszodkiej podjął pewne kroki i poczynił pewne zarządzenia militarna, które w Londynie do postępowania bardziej uprzejmego nakłoniły i panu Delcassému pokojowe tej sprawy załatwienie możliwym uczyniły.

„Zresztą owa historia faszodka była następstwem nierozsądnej polityki „klucza szpilek” której poprzednicy p. Delcassé przeciw Anglii używali, a która wręcz przeciwną była tendencjom sojuszu francusko-rosyjskiego: utrzymania pokoju.

„Idea francusko-niemieckiego porozumienia wcale też nie staje się ponętniejszą przez to, że poruszono myśl zaszczerpania go na sojusz francusko-rosyjskim. Gdyby politycy rosyjscy rozprawiali o zaszczerpaniu zbliżenia rosyjsko-niemieckiego na owym sojuszu, to z pewnością całaby Francja zawołała: Rosja nas zdradza! W Petersburgu nie chcą tak potępiać w oszambur; spodziewają się bowiem, że niezmiernie większość Francuzów żadna nie porwie ochotą naśladowania niedawnej wycieczki kilku czasopism paryskich w dziedzinie mrzonek politycznych, ale oceniając stosunek z Rosją, trzymać się będzie gruntu realnego”.

Może też w związku z podróży Delcasségo stoi artykuł londyńskijskiej *Morningpost*, która odpowiadając na wrogi Niemcom artykuł *National-Review* pisze: „Polityka Niemiec kieruje cesarza. Na razie dość wiedzieć, że cesarz najzupełniej świadom jest, iż jego a Anglii interesy są jednakowe na wszystkich punktach świata. I cesarz brałby ten fakt w rachubę, gdyby mógł liczyć na konsekwentność polityki angielskiej”.

Gabinet carski troskliwie opiekuje się Kretą. Jak słychać, gabinet carski wniósł, w porozumieniu z Anglią, Francją i Włochami, w Berlinie i Wiedniu urzędowe uznanie nowych rządów na Krecie. Dotychczas austriacy i Niemcy konsulowie na Krecie nie znosili się urzędowo z ks. Jerzym.

Medyolański *Corriere della Sera* zapewnia, że celem tego, co Włochy przedsięwzięły w Chinach, są jedynie sprawy handlowo-polityczne a nie zajęcie jakiego terytorium chińskiego. Do ultimatu albo starcia

przyjść tam nie może, Włochy bowiem zrzekły się zajęcia Sanmunu i na rokowania handlowo-polityczne się ograniczają. Salvago Raggi został wysłany do Chin jako poseł zwyczajny, bez żadnej specjalnej misji. Wszystkie poprzednie zajęcia są zgodzone oświadczeniem, jakie poseł chiński złożył w Rzymie, i odwołaniem posła włoskiego Martino z Pekinu.

Dalej donosi ten dziennik, że komendanci eskadry włoskiej w Chinach oświadczają się przeciw nabyciu zatoki Sanmun jako nieprzydatnej nawet dla celów handlowo-politycznych, zezwolenie rządowi z tamtąd wycofa. A nadto stanowczo zaprzeczają, jakoby Włochy konieczności chciały nabyć jaką inną, przydatniejszą, stację w Chinach, jakkolwiek rokowania handlowo-polityczne nie są zerwane, ani też na zerwanie się nie zanoszą. Pokojowy cel i doniosłość rokowań będą później ogłoszone. Dla rozmaitych powodów eskadra włoska nadal pozostanie w Chinach, ale pomnożoną nie będzie; dwa świeże okręty będą tam wysłane, a dwa odwołane.

Jak wiadomo, przybycie eskadry francuskiej do Barcelony dało Katalończykom powód do manifestacji republikańskich, wśród których admirał francuski Fournier grubo naruszył obyczaje międzynarodowe. Marynarzom francuskim wyprowadzono rozmaite festyny. D. 24 bm. w pałacu sztuki pięknych śpiewano różne pieśni anty-dynastyczne — hiszpańskiego hymnu ludowego nie grano, ale gdy śpiewano kataloński hymn narodowy, admirał Fournier wstał i przysłuchiwał się tej manifestacji republikańskiej z odkrytą głową; to samo uczynił burmistrz Barcelony. Nazajutrz przypadała imieniny królowej rejentki Krystyny, i eskadra francuska umyślnie odpłynęła.

Wyludnianie się wsi.

Ostatnich kilkanaście lat, ciężkich dla rolnictwa europejskiego czasów — powiada p. St... D. w warszawskim *Wieku* — zachowało niejednemu, uważanemu dotąd za niewzruszony pewnik, pojęcie.

Żywiłowe, jakoby, przywiązanie włościanina do uprawianego zagonu, niecierpiące źródła w motywach racjonalnych lub względach na materialną korzyść i chęć poprawy bytu, lecz płynące bezwiednie z intelektualnej i etycznej odrębności wieśniaka, czyniącej go zupełnie prawie nieważliwym na wszelkie pokusy poprawy bytu po za granicami ojczystej osady, oto do niedawna jedno z tych utartych, rzec można, wytartych jak lioznam, długo w obiegu stojących, wyobrażeń.

Wytwarzając pewnego rodzaju arystokrację „a rebours” pseudoludowy nas, za przykładem rosyjskich, posuwali w swoim poję-

ciu odrębność etyczną i intelektualną włościanina tak daleko, że pomiędzy umysłem chłopca a inteligentą chcieli widzieć nie różnicę ilościową — stopnia, lecz zasadniczą — jakościową, wytwarzającą odrębną cywilizację ludową, mającą jakoby odróżnić świat cały.

Chłop Ślimak z „Płocówki” Prusa, trzymający się zagonu wbrew wszelkim przeciwnościom, pokusom i widokom zysku, to do niedawna ogólnie uznany typ włościanina.

Zaledwie jednak obeshło pióro, gdy epidemia wychodźstwa do Brazylii zaślania pierwszy cios tym utrwalałom, lecz powierzchownym wizerunkom.

Stale obecnie wędrowni ludu naszego za zarobkami do Prus, oraz większy napływ do miast, sadając kłam utartym pojęciem, wskazują konieczność podjęcia wyczerpujących badań, któreby jaśniej odsłoniły nam warunki bytu włościanina, potrzeby i stan drobnej własności, głębiej pozwoliły zajrzeć do serca i umysłu chłopca, dokładniej poznać motywy i sprzężony poruszać jego duszę.

Nie z uprzedzeniami klasowymi do studentów tych przystępować i nie na głos słownych hipotezach i twierdzeniach opierać się należy. Odpowiednio skierowane badania statystyczne w połączeniu z monografią wedle wzoru Le Play'a mogłyby jedynie dostarczyć poważnego materiału, który pozwoliłby wprowadzić jakieś pozytywne wnioski.

Tymczasem dotychczas sprawa ta obrabiana jest w prasie naszej zwykłym, szablonowym sposobem. Wędrowni ludu, wychodźstwo ze wsi traktuje się, jakby to było zjawisko miejscowe, nam tylko właściwe, bez związku z ogólnym stanem rolnictwa i klasy wiejskiej w Europie.

Niech właściciele ziemscy podniosą o 50 procent płac robotnikom folwarcznym, a wychodźstwo ustanie, zaprojektowano najpoważniej na łamach jednego z „Kuryerów”. Jak gdyby podniesienie lub obniżenie ogólnej płacy robotniczej zależało jedynie od woli poszczególnych jednostek, a nie było rządzone niezwruszoną prawą ekonomii społecznej i jak gdyby uszczuplona większa własność ziemiska była dzisiaj jeszcze jedynym czynnikiem naszej ekonomii społecznej.

Zdawałoby się, że zjawisko wędrowek ludowych wskazuje na niedomaganie ogółu rolnictwa, nie tylko większej, ale i drobnej własności, że w kierunku badania stanu i potrzeb drobnej własności, będzie zwrócona pilniejsza uwaga, tymczasem w dalszym ciągu przysmaguje się za niewątpliwymi pomyślnymi stan drobnej własności i mniej lub więcej przyczynę wszystkiego złego przypisuje się niedołęstwu ziemianstwa i większej własności, ratunek zaś widzi się w parcelacji, w zniesieniu, a chociażby zmniejszeniu klasy bezrolnych.

Dla czego jednak wychodźstwo ludu wy-

stępuje u nas właśnie równoległe z postępami i rozwojem parcelacji? Czy te dwa zjawiska nie stoją ze sobą w żadnym przyczynowym związku? Czy nie ma w nich pewnego podobieństwa z występującym w coraz groźniejszej sile wychodźstwie na zarobki lub w poszukiwaniu lepszego bytu na Syberii setek tysięcy ludu ze środkowych i wschodnich gubernii carskiej, tego centrum gospodarstwa włościańskiego? A może to objaw właściwy tylko wschodniej części Europy, mniej kulturowej pod względem rolniczym? Może na zachodzie, w krajach, gdzie rozwinięty przemysł wytwarza wyjątkowo pomyślnie dla drobnej własności warunki, jest inaczej? Może tam lud garnie się do pracy na roli, na własnym zagonie?

Oto szereg pytań, wysuwających się na pierwszy plan, jeżeli zechcemy sprawę wychodźstwa ludu ze wsi rozpatrzyć obojętnie, a nie ograniczać się na głośliwych wnioskach i hipotezach.

Odnosnie do ostatniego szeregu tych pytań, ciekawych danych dostarcza zarządzony w roku 1895 niemiecki statystyczny spis powołań i zajęć.

Porównanie rezultatów ostatniego spisu z przeprowadzonym w roku 1892, wykazuje znaczne zmniejszenie się w Niemczech ludności, wyłącznie oddanej rolnictwu, a mianowicie: z 19.2 miliona w roku 1892, ludność ta spadła do 18.5 miliona głów w r. 1895. Ubytek wynosi blisko milion głów. Jeżeli przymiemy na uwagę, że jednocześnie ogół ludności wzrósł o 14.48 procent i że przyjmując ten przeciętny przyrost (choć, jak wiadomo, ludność rolnicza rośnie się przędzej) to nie ubytek miliona głów, lecz zwiększenie się o 2,783,845 ludności rolniczej spis powinien być wykazał widziemy, że w krótkim okresie lat trzynastu, przeszło pół oszta miliona ludzi, to jest przeszło 1/6, część ludności srodzonoj na roli, porzuciła pracę na zagonie, szukając zyskowniejszego zajęcia w przemyśle, handlu, lub nawet w wychodźstwie za ocean. W następstwie tego wychodźstwa ze wsi, stosunek ludności rolniczej do ogółu ludności państwa niemieckiego spadł z 42.61 procent na 35.74 procent.

Procentowy stosunek rolników do ogółu ludności, stoi prawie wprost w odwrotnym stosunku do liczby ludności rolniczej, zamieszkałej na 100 hektarach ziemi uprawnej. W okolicach o licznych miastach i rozwiniętym przemyśle, gdzie rolnictwo zamieniło się prawie w warzywnictwo i ogrodnictwo, a rodoobnienie własności osiągnęło największych granic, ludność rolnicza, chociaż procentowo do ogółu ludności stanowiła część nieznamaczną, może być, z powodu nadmiernej gęstości zaludnienia i liczebnie i w stosunku do przestrzeni uprawnej roli, bardzo wysoka.

I rzeczywiście widzimy, że gdy na

DZIWAŁ.

Szkic z życia.

Napisał

Mieczysław Piniński.

(Oleg dalszy).

Nie było ubożego, któryby głodny odszedł z folwarku, tylko że oprócz chleba i sutości omasty także niezbyt wykwintny obroczek duchowny na drogę dostawał. Ale oś robić, taką już była. „Napadysta” mówiono w Podgórzance.

Ala doń na tem. Gotowa mi jeszcze jaka czytelnika zrobić zarzut, iż za długo zatrzymuję się w izbie oszadniej, że szadno zajmuję się piekarnią a za mało salonem. Ochoć i piekarnia jest bardzo ciekawa, zwłaszcza gdy się umie patrzeć, urywam uwagi o niej, niechoć z rodem niewieściom w konflikt popadać.

VI

I znowu z upragnionem pożądanem samotności znalazł się Henryk w swej sypialni. Lecz i tym razem samotność ta długo nie trwała. Pod energicznym ruchem drzwi się rozwarły — dało się słyszeć zamaszyste szur-

gnięcie butami i na progu izby pojawił się osłówek niskiego wzrostu, krępej budowy ośla, ubrany „z wascecia po polsku” o wasach podkręconych i tak wywoskowanych, iż zachodziła obawa, czy też sam sobie oczu nie wykluje, zwłaszcza, iż oczy te miały wejście nieco szklane.

— Koropytiakiewicz — zarządca ekonomiczny, całuje stopnie — brzmiała formuła przedstawienia.

Poczem nie pytany i nie zachęcany ciągnął swą rzecz dalej.

— Dzisiaj pochowaliśmy starszego pana; teraz więc ja się jawię względem dyspozycji na jutro.

Widocznie było, iż z zestawienia tego zdania był bardzo dumny. I znowu nie czekając prawil płynnie — gdyby nie ciekawka, która mu cokolwiek przeszkadzała.

— Bloko, że niech ręka Boska broni, z nawozem więc, ja myślę, damy spokój, dysponowałem ctery fornalki po materyal — puścił się sioćka, bo tryna zamokła, parobków do cepów, dziewki do młynka, aby dranie nie darmowało.

Potok słów tych przerwał jednak Henryk, sam swojej energii się dziwiąc i poprosił uprzejmie pana Koropytiakiewicza, aby zrobił co chce i jak chce, byle mu dał spokój.

Znowu słowa „całuje stopnie” i szurnięcie butami dało się słyszeć i pan Koropytiakiewicz znikł z pokoju.

„Filozof” mrknął znalazłszy się sam na podwórzu i pokręcił głową, widocznie niezadowolony z audyencyi, a przedewszystkiem małomowności nowego pryncypała.

Henryka zaś po oddaleniu się pana za-

razdęcy jedna rzecz głównie zaintrygowała — mianowicie jakiś niezwykły aromat, który powstał w pomieszkaniu.

Po chwili namysłu przekonał się, że woń ta nie była znowu tak bardzo skomplikowaną i że dominującym w niej był odor spirytusu z lekką domieszką anyżu.

Jednakowoż repertuar dnia nie był jeszcze wyczerpany. Drzwi od sypialni Henryka otworzyły się znowu, tym razem bardzo oicho i dyskretnie, a w ślad za tem doszedł do uszu jego chrapliwy głos i słowa powitalne: „Klaniam Jasnemu Panu”.

W progu pokoju skremnie do ściany przyparty stał żyd — a dla czytelnika potęgującego szczegółowych opisów dodam, iż był to żydek tak wyglądający, jak na stu wiejskich wygląda dziesięćdziesięciu dziesięciu.

— Jak się pan nazywa, czego pan sobie życzy — z wyraźnym zniecierpliwieniem w głosie zapytał Głogowicz.

— Ja się piszę nie uroku Isak Abraham Feldherr, ale to nie nie znaczy, mnie można nazywać Abramko, a pan, to ja tak sanadto nie jestem i ja tu przyszedł trochę się zapytować, czyby z Jasnym Panem co nie zrobić.

Henryka zdziwiła ta okoliczność, iż „coś z nim mają robić” zaczął i pytający warok zwrócił na Isaka Abrahama Feldherra i ten wyraz oczu pozostał mu przez czas trwania całej dalszej tyjady.

— Jasny Panie, ja tu jest domowy, czy się trafi według szoke, czy według chudoba, czy podług inna rzecz interes — Abramko wyprowadzi, co nie potrzebuje lepiej — niech jasny Pan ino tylko nie słucha — ten drugi

lajdak... i jakkolwiek byli sami — tu znikł głos i palcem wskazał za plecami. — Nieboszyk starszy pan to był pan co można drugi posunął. Bywało powiada do mnie: „Abramku”, ja powiadam „ha?” — „będziemy co robić?” ja mówię: „czemu nie”.

Lecz Henryk zorientował się wcześniej, iż się tu na dłuższą opowieść sanosi i poprosił Abramka, aby rzecz odłożył na później — nawet nie był ciekawy jakiegos interesu, który miał mu być w „dwa słowa” przedłożony.

Żył opuścił pokój a przechodząc ostrożnie po wąskiej ścieżce wzdłuż ścian domostwa, szepnął sam do siebie: „Versteht gurnicht”.

W pokoju Henryka pozostał znowu tylko odor, tym razem cebuli, z jakąś domieszką, ale mniejszą o to.

Pragnąc zaoferować nieco świeżego powietrza, wyszedł młody Głogowicz na ganek dworku.

Noc była zupełna — noc ciepła jak na ową porę roku, tak jednak bezdennie czarna i ponura, jak tylko listopadowe noce w naszym klimacie bywają. I w tej ciszy głębokiej, która zalegała oboje ośla, w tej nocy ciemnej, która tak długo trwała miała, wydało się Henrykowi, że widzi przyszłość swoją ośla. Został tu wśród tych ciemności i tak samotnym — czy też powrócić do miasta, do ruchu, gdzie samotności wprawdzie nie ma, ale natomiast tyle próżnego, pustego hałasu, tyle drobniagowych zawiści, niskich intryg, tyle blichtrów bez treści, tyle nędzy blyszczącej. Żywo mu w pamięci stanęło, iż niemal wszyscy koledzy jego obrali już stanowczo swój zawód i społeczny zakres działania, a

on jeden tylko z całym zapasem rozrzuconych swych wiadomości, błakał się po świecie, nieświadom celów swoich.

Niepokój zaczął nim targać, wspomnieli kolegów, którzy często głodni w dziurawym obuwii przebiegali odległe dzielnice miasta, aby zapracować na utrzymanie, aby nadto nieraz rodzinie swej przysłać z pomocą, a przysłać im jako ideał, marna nadzieja jakiegos urzędu o płacy kilkuset reńskich. Jego zaś ideały, jego pomysły — wiedział o tem wprawdzie, że były szanoni — jednak, gdzie możliwość ich urzeczywistnienia? Uczeń wreszcie, że czas ostatni wyrósł mu z granic marzeń i ideologii i wstyd go niemal ogarniał, iż dotychczas nie poznał: co to znaczy pozytywna praca. I cały zaszło jego idei altruistycznych wydał mu się nagle jakąś w niedostępnym głębiach ziemi ukrytą kopalnią cennych może, ale nieużytecznych minerałów.

Wtem dały się słyszeć ciężkie kroki kogoś opodal przechodzącego. Po ośniu, jaki ta postać ludzka rzuciła — poznał Henryk starego dozorcę Wojciecha.

Był to faworyt nieboszyczka p. Sebastjana, u którego w służbie przeżył ośle swe życie.

Chłop prosty, ponury i małomowny, lecz wzorowo uczciwy i obowiązkowy. Henryk spróbował nawiązać z nim rozmowę — nie szło jednak i widoczna była cała otchłań, dzieląca sposób myślenia tych dwóch ludzi.

(O. d. n.)

Najnowszych fasonów kapelusze, krawaty, koszule, kołnierze i mankiety E. MACHAYSKI
poleca magazyn pod firmą
Lwów, róg ulicy Jagiellońskiej i Trzeciego Maja.

wschodzie królestwa Pruskiego liczbą ludności rolniczej na 100 hektarach ziemi uprawnej przeciętnie 458 wynosi, to osiąga ona w prowincjach nadreńskich 91, a nawet we wschodnim Württembergu 106,4, w okręgu zaś miasta Karlsruhe 137,6 głów.

Należałoby spodziewać się, że w takich podmiejskich okolicach, gdzie kwitnie warzywnictwo i ogrodnictwo, wymagające masy rąk do pracy, gdzie nader rozdrobiona własność ziemska pozwala pracować na własnym zagonie, a udogodniony zbyt produktów bezpośrednio do miast konsumentom, zapewnią, szczególnie w obrotach ochotników, nieźle ceny produktów, że tam ludność rolnicza już i tak drobny ułamek ogółu ludności stanowiąca, jeżeli nie zwiększa, to przynajmniej zmniejsza się nie będzie.

Tymczasem spis z 1895 r. wręcz przeciwnie daje rezultaty. Zmniejszenie się ludności rolniczej jest zjawiskiem ogólnym w całym państwie, z wyjątkiem niektórych drobnych bardzo okręgów, jak okolice Hamburga, Sachsen-Meinigen itp.

Ala może to opuszczenie zagona, właściwie jest tylko wschodniej części państwa niemieckiego, gdzie znaczna liczba dóbr większych nie daje ludności dostatecznego pola do samodzielnej pracy na własnej osadzie?

Spis z 1895 roku i pod tym względem daje nam jasną i wyraźną odpowiedź.

W prowincjach i krajach zachodu o nadzwyczaj rozwiniętych przemysły i licznych ludnych miastach procentowy stosunek rolników do ogółu ludności jest oczywiście znacznie niższy niż na wschodzie, gdzie stosunkowo znacznie więcej ludzi żyje z rolnictwa.

We wschodnich prowincjach ubytek ludności rolniczej na 100 hektarach ziemi uprawnej, jedynie w rejonach gabińskiej i opolskiej przenosi 6 osób, gdy w sąsiednich całych 3 nie dochodzi, a w rejonie poznajskiej i bydgoskiej spada do 2,2, a nawet 2 osób, co procentowo stanowi niewiele więcej nad 4%, pierwotnej cyfry ludności rolniczej.

Przeciwnie w prowincjach zachodnich, minimum ubytku wynosi 7,4 osób.

Jeżeli w tych ostatnich prowincjach przyjmujemy na uwagę naturalny przyrost ludności, który przeciętnie dla państwa niemieckiego za czas od 1882—1895 r. wynosi 14,48%, i w których bez wychodźstwa powinna była zwiększyć się ludność rolnicza, to przekonamy się, że przeszło 1/4 część zrodzonych na roli w Palatynie i Alzacji, porzuciła pracę rolniczą dla innych zajęć, a księstwo Reuss jeszcze wyższy pod tym względem przedstawia stosunek.

Powyższe cyfry jasno i dobitnie stwierdzają, że wychodźstwo ludu ze wsi i porzucenie pracy na zagonie nie jest wcale w Niemczech uwarunkowane przewagą większej własności, a nawet zdawałoby się one jaskrawo świadczyć przeciwnie.

Zbrojność Anglii.

Co roku miewa w lipcu następcą tronu angielskiego król Walii przegląd armii ochotników londyńskiego okręgu wojskowego. Armia ta obejmuje do 30.000 żołnierzy, a przegląd jej, dokonywany przez księcia w asystencji gromady różnorodnych angielskich generałów, daje widok bardzo malowniczy.

Tego roku skarżyli się Londyńczycy, że armia ta, przeciągająca z parków na plac przed koszarami gwardyi, gdzie defilowała przed księciem Walii, tamowała zwykły ruch uliczny, ale w głębi serca byli dumni z takiej okazałej siły wojskowej.

Dla niewtajemniczonych w organizację wojskową Anglii, armia ochotników wydaje się istotnie potęgą. Gdy czytają, że jest ich bez mała 200.000, przeszło 6.000 oficerów i 120 dział bojowych, to zdaje się, że stanowi ona poza armią regularną (300.000) rezerwę (100.000) i milicję (136.000) ostatni silny szkielet, o który rozbił się napad wszelkiego wroga.

Natomiast specjaliści, obeznani z organizacją angielskiej armii ochotniczej, wiedzą, że jest ona silną tylko na papierze. Ochotnicy tylko ze względu na mundur są żołnierzami. Zaciągają się do pułków dla sportu. Pozostają przez lat kilka w pułkach, biorąc albo nie biorąc udziału w dwutygodniowych wyprawach wielkonożnych do Dawru, a gdy im się zabawka sprzykrzy, wykreślają się z listy Obowiązani są do bardzo lekkich ćwiczeń wieczornych, nie więc dziwnego, iż opuszczając pułk, nie prawie o służbie wojskowej nie wiedzą. Armia regularna, a nawet milicja drwią sobie z ochotników i nie spisałyby na wolowej skórze anegdot, które o nich obiegają, a są wyrazem powszechnego sądu o ich zdolnościach wojskowych.

Nieraz już zajmowano się sprawą przekształcenia armii ochotników i zrobienia z nich prawdziwych żołnierzy. Główną ich przywarą jest brak dyscypliny, a pochodzi to z tego, że ich oficerowie, należący do tych samych warstw towarzyskich, nie mają w żołnierzy dostatecznej powagi. Dopóki organizacja dzisiejsza nie ustąpi miejsce innej, a mianowicie tej, która by powoływała oficerów armii regularnej na instruktorów i na sta-

łych dowódców armii ochotników, nie będzie można brać jej na serio. Proponowano także nieraz, aby ochotnicy pobierali żołd regularny, co by pozwalało żądać wzajemnej służby ścisłej.

Kto zna te słabe strony armii ochotniczej, zrozumie projekt obecnego ministra wojny angielskiego margrabiego Lansdowne, który wielkie zdziwienie wywołał w izbie lordów. Minister, chcąc wzmocnić armię dodatkową, nie o ochotnikach myśli, ale o milicji. Milicja ta, składająca się z 180.000 żołnierzy piechoty i 11.000 kawalerii, pełniąc służbę na własnych koniach, jest bez najmniejszego porównania lepszą organizacją wojskową, aniżeli ochotnicy. Do armii tej zaciągają się także ochotnicy, ale przeważnie tacy, którzy opuścili rezerwę, albo przeszli uprzednio przez armię regularną. Ponieważ wykwalifikowanych ochotników do milicji brak i brak ten wynosił w ostatnim roku blisko 20.000 żołnierzy, przeto minister wojny proponuje wprowadzić zasady obowiązkowej służby w milicji przez losowanie między rekrutami.

Myśl jest oryginalna. Gdyby rząd istotnie miał zamiar projekt swój przeprowadzić przez parlament znalazłoby się tysiące argumentów, przemawiających przeciwko niemu, ale w ogóle widać w nim poprostu *un ballon d'essai*. Rząd pragnie oświadczyć ogół angielski, że o obowiązkowej służbie wojskowej. Wiadomo, że oddawna lord Woolsley i inni poważni członkowie sztabu jenerałego wyrażają życzenie zaprowadzenia obowiązkowej służby wojskowej w Anglii. W przekonaniu, że ogół nie ma dziś sympatyj dla takiej organizacji i że ministerium runęłoby, gdyby od razu z takim programem wystąpiło, rząd ograniczył się do proponowania przymusowej służby wojskowej w milicji i z góry zaproponował różne ułatwienia. Nie ma widoków, żeby ten przeszedł i dlatego w jego szczegóły nie ma co wchodzić, ale nie na leży o nim zapominać. Jest on zapowiedzią, że niedługo się czas, gdy służba wojskowa w Anglii stanie się obowiązującą.

W dzienniku niemieckim, dawniej zapatrywany w ważne wskazówki polityczne przez Bismarcka, dzisiaj zaś wysługującym się księciu Herbertowi Bismarckowi, a równocześnie i urzędnikowi kancelarskiemu w Berlinie, w *Hamburger Nachrichten* pojawił się niedawno artykuł półurzędowy, którego celem pogróżka pod adresem Anglii, komplement w stronę Francji.

Artykuł, który widocznie dąży do przedstawienia opinii francuskiej na rzecz przymierza z Niemcami, zastanawia się nad pytaniem, dla czego Anglia boi się wojny z Transwalem i okazuje skłonność do ustępstw. Oto czuje ona obawę przed koalicją europejską, która nie pozwoliłaby nigdy na usadowienie się Anglii w zatoce Delagoa. Niemcy ze względu na bliskie sąsiedztwo swojej kolonii „Niemiecka Afryka Wschodnia“ Francja z uwagi, że jej Madagaskar leży niemal na wprost owej zatoki, a zupełnie na wprost posiadłości portugalskich, jak kraj Gasi i Mozambiku.

Wspominamy artykuł, którego doniosłość polityczna rzuciła się w oczy, nie poprzestając na tem. Wykazuje on bowiem na podstawie faktów, że koalicja owych dwóch krajów bardzo skutecznie mogłaby walczyć z Anglią i odnieść nad nią zwycięstwo. Wprawdzie o wysadzeniu na brzegach Anglii tak wielkiej armii, by mogła wystarczyć na podbicie tego kraju, nie ma co i marzyć. Najazd Anglosasów na Celtów a Normandów na Anglosasów nie powtórzy się już nigdy w dziejach Anglii. Istnieje za to inna metoda wojowania z Anglią, bardzo dla tej ostatniej niebezpieczna.

Anglia jest jednym wielkim warstwą przemysłowym i handlowym. Uprawa roli upada i nie może wyżywić ludności, przeważnie skupionej po miastach.

Wzrósł tylko samą Anglię i Walię bez Szkocyi i bez Irlandyi. Jeszcze w 1851 r. ludność 680 miast angielskich wyrównywała co do liczby ludności wiejskiej. Rozwój przemysłu wpłynął na rozwój miast. W 1891 r. ludność miejska Anglii wynosi 20.802.770 głów, czyli prawie 21 milionów. Ludność, zamieszkała na wsi, wynosi zaledwie 8.198.243. Po miastach wzrasta ludność rocznie o 15-3%, na wsi tylko o 3-4%. Obecnie po miastach żyje 61-5% ogólnej liczby ludności.

Rolnictwo angielskie spada co do wartości, powiększa się liczba łak. gdzie się pać się bydo, zmniejsza się natomiast przestrzeń pól obsiewanych pszenicą. Jeszcze w r. 1830 Zjednoczone Królestwo (Anglia z Walią, Szkocją, Irlandią) rocznie wytwarzało 17 buszli (85 litrów) pszenicy na głowę, dzisiaj wydaje ją 1 1/2 buszla.

Samych tedy artykułów spożywczych sprowadza Wielka Brytania przeszło za 172 milionów funtów rocznie. W tem jest zboża i maki za 52-8 milionów funtów, herbaty za 10560 funtów, mięsa bitygo i bydła przeszło za 15 milionów.

Gdyby takiej ilości środków spożywczych nie dostarczono, nastąpiłby głód i gdyby dostarczono mniej i to z trudnościami, środki żywności podrożałyby i sprowadziłyby przesilenie ekonomiczne.

Na tym właśnie szczególe opiera-

Hamburger Nachrichten plan wspólnego działania koalicji francusko-niemieckiej przeciw Anglii. Należy uzbudzić parę tysięcy krążowników (okręty handlowe, zmienione na wojenne) które zatoczą koło szerokie wzdłuż Wielkiej Brytanii. Do pomocy będą im dodane okręty wojenne, połączone w silne eskadry. Zadaniem owych krążowników będzie chwytanie okrętów handlowych, wychodzących z Anglii z towarami i przywożących do Anglii zboże.

Dzięki temu równocześnie będzie narazem na straty przemysł Anglii, co pociągnie za sobą upadek fabryk, przynajmniej bezrobocie, usuwanie robotników z zakładów przemysłowych i będzie za mało chleba i mięsa. Tak prowadzone wojnie Anglii nie zdołałaby długo stawić czoła i dla tego pobyt cesarza Wilhelma II na *Hyannis* dał jej dużo do myślenia i kazał oszczędzać Transwala.

Porządek a pedantyzm.

Istnieją na świecie dwa rodzaje porządku i systematyczności. Jeden z nich wynika z nieubłaganej konsekwencji praw przyrody lub życia ludzkiego, gdzie prawidłowość przebiegu zjawisk stanowi jedyną rękomię ich rozwoju, drugi — jest dowolnym szeregowaniem faktów, bez względu na ich naturalne znaczenie lub wartość społeczną. System życia, zarówno dorosłych, jak dzieci może się układać albo zgodnie z wymaganiami przyrody i rozwoju społecznego, albo też wbrew koniecznemu porządkowi. W pierwszym wypadku osiąga się najzupełniejszy rozwój sił fizycznych i duchowych, najpożytejszy układ stosunków między ludźmi, oraz najwzajemne zadowolenie. System zaś przygodny, sztuczny, chociażby przez patentowanych mistrzów stworzony, jest jeno hamulcem w rozwoju, klęską domu i szkoły.

Często daje się słyszeć frazes, że ludzie, a zwłaszcza dzieci nie lubią życia ujętego w karby porządku; lecz czego tu właściwie nie lubią? Czy tego, że w ich czynnościach istnieje ład, naturalna konsekwencja i celowość? Bynajmniej.

Kto samodzielnie obserwował życie, musił przekonać się, że nie ma i nie mogło być nigdy ani jednego człowieka, któryby przykrył sobie wizerunek najświeższego porządku, w jakim naturalne, a uświadomione potrzeby — cielesne lub duchowe, indywidualne lub zbiorowe — działał mu kazali.

A kto miał z dziećmi do czynienia, ten wie, że najdrobniejsze nawet uchylenie się od zwykłego trybu ich zajęć, o ile nie stanowi dla nich doraźnej przyjemności, wywołuje zdziwienie, szemranie, protesty. Obawiamy się nie porządku, lecz jego zakłócenia, nawet chociażby porządek ten w gruncie rzeczy największym był nieładem, ale skoro już do niego przywykliśmy, a innego nie znamy, stał się on dla nas do pewnego stopnia naturalnym. Systematyczny, istotny potrzebom odpowiadający układ zajęć i czynności organizmu jest tak nieodzownym, jak samo życie, jak najdalej sięgająca pomyślność jednostki i społeczeństwa.

Wiadomym jest to nie tylko z rozbioru zjawisk przyrodzonych i socjologicznych, lecz także z dziejów kultury i wychowania. Im wyższy jest rozwój życia zbiorowego, tem licniejsze i trwalsze są więzy, które porządek społeczny, oraz znajomość porządku natury na jednostkę wkłada, aby się mogła jaknajswobodniej poruszać.

Dzieci — podobnie, jak i narody — tylko przez ograniczenie bezładu i bezwzględnej samowoli dochodzą do swobodnego rozwoju. A tego potrzeba nie tylko przez 9 miesięcy okresu „kucia“ lecz i w czasie wakacji.

Gdyby młodzież była nie „tresowana“, lecz wychowywana, nie byłoby oplakanych skutków rutyny szkolnej. Należy przeto w początki letnie tak zorganizować, aby żadna chwila nie była zmarnowana dla zdrowia, aby każda czynność dziecka, czy młodzieńca jaknajlepiej odpowiadała — nie wymyślonemu systemom lub tuzesom! — ale naturalnym potrzebom osobnika. Potrzebom tym wszelkie zadanie ucznia zdola jedynie regulaminu, oparty na szerokiej podstawie higieny.

„Uciągaliśmy i niezmogliśmy“ nie będzie on wcale, jeżeli się uwzględni stan zdrowia i właściwości indywidualne młodzieży, a odrzuci wszystko, co jest szablone i fantazją pedantów. Jak pożytecznym i pożytecznym może się stać taki wypoczynek, najlepiej oceniono można, porównując rozkosze rzekomej swobody ludów barbarzyńskich i oświeconych.

Tamci całymi dniami, leżąc na dachu, wygrzewając się w słońcu lub siedząc nieruchomo, miloczący z fajką w ustach, gdy Europejczyk o wyższej kulturze zdola w ciągu kilku godzin odświeżyć swe siły, zażył kilku przyjemności natury fizycznej, napawał swe zmysły rozmaitymi widokami, pieśniami ucho odowując melodyj, bzdził lub kołysał wyobraźnię wspaniałymi obrazami z chwili bieżącej lub z oddalonej przeszłości, a wreszcie rozpraszal lud skupiać uwagę na jakimś przedmiocie.

Lecz taki sposób zażywania swobody

możliwy jest tylko tam, gdzie nie ma anarchoi życia, gdzie wszyscy i wszystko jest zastoso-

Pragnienie i napoje.

Z nastaniem upałów rozpoczyna się sezon, w którym pragnienie, żądza jego zaspokojenia i zapotrzebowanie napojów wzrasta nawet u nienalagowców „pijaków“. Co właściwie cenimy w napojach? Najczęściej nie płyn sam, lecz dodatki, nie zasilanie organizmu niezbędną dla niego wodą, lecz domieszki w postaci alkoholu, goryczy, słodczy i korzeni. Oczciście Bachusa i Gambrynsa, amatorzy kawy lub herbaty, lekceważą wodę zawartą w tych napojach, a delektują się trucizną, w jaką one obfitują.

Dwa tylko istnieją napoje stanowczo niezbędne dla organizmu ludzkiego i gdy czyste i niesfałszowane, nigdy nieszkodliwe, a zawsze przydatne: mleko matczyne dla niemowląt i woda źródlana dla dorosłych. Wszystkie inne napoje w pewnych ilościach i w pewnej koncentracji mogą nie szkodzić, ale też w wyjątkowych tylko wypadkach przynoszą jakąś korzyść.

Prócz wody pochłaniamy najwięcej napojów zawierających teobrominę albo kofeinę. Tymczasem kawa działa drażniaco na nerwy, a nadto jest arocyjestranną wskutek zawartości garbnika itd. Należy ją szeregować bezpośrednio po mizery!

Najgorszym atoli, najniezdrowszym napojem jest alkohol w postaci piwa, wódki i win. Zrządza on bezpośrednio dużo szkody, ale gorsze są jeszcze następstwa alkoholizmu: domy karne, domy dla obłąkanych, szpitale. Na nim ostrą swe strzałę trzeźwość apokaliptyczni jeźdźcy, niszczący kulturę naszą: głód, choroba i zbrodnia.

Alkohol jest tem szkodliwszym, im regularniej i częściej go się pija. Kto się codziennie obyd nie może bez piwa, ten jest „pijakiem nalogowym“. Pod względem higienicznym korzystniejszym jest bez porównania „podmieszać sobie“ odrobinę od czasu do czasu, aniżeli „umiarkowanie“ truć się codziennie napojami wysokimi.

Bezustannie wystrzegać się też trzeba w porze obecnej nadużywania zbyt zimnych napojów i pochłaniania zbyt wielkich porcji lodów.

Kiedy pić? Wtedy, gdy mamy pragnienie! Kto nie jest nalogowym „palaozem“ lub pijakiem, nie objada się zbyt ostreimi potrami, ten może stanowczo ufać swemu pragnieniu. Po przepłukaniu ust, pić trzeba powoli w umiarkowanych haustach i zaprzestać, gdy pragnienie ugaszone.

Wiadomo, że ludzie skłonni do otyłości, nie powinni pić nie, albo bardzo mało podczas obiadu. Z początku nie będzie to łatwo, ale powoli przyzwyczajamy się i do takiej wstrzemięźliwości. Wgódle, dobrze jest przypominać sobie często stare powiedzenie: „wstrzymuj — powstrzymaj się!“ (sustine — abstine!) — nie dogadzać zbytino organizmowi, nie poddawać się odrzutu zachciankom ciała.

Przy dobrej woli można wytrenować się do tego stopnia, że nie uczuwa się pragnienia nawet podczas uciążliwych marszów: słomka, lodyga lub kamysek w ustach, gasi zupełnie pragnienie. W najgorszych razach suszona śliwka działa cuda.

A zresztą, ozem gasić pragnienie? Na pytanie to odpowiedział starożytny poeta grecki Pindar: „Woda jest najlepszą!“

Wiece sług.

Ocharakterystycznym zjawiskiem życia niemieckiego są zaprowadzone od niedawnego czasu wiece sług. Wiece takie odbył się przed kilku dniami w Berlinie, a przebieg jego był, jak zapewniają sprawozdawcy, dosyć poważny, mimo rozmaitych fajerwerków krasomówczych, którymi popisali się urzędowi retorzy. Prawie wszystkie służące przystrojone były, na mocy uprzedniego porozumienia, w białe-czarne szarfy. Płód męska była bardzo nielicznie reprezentowaną i składała się przeważnie z agentów „stowarzyszenia czeladzi niemieckiej“ którzy namawiali obecne na wiecu służące, aby zapisywały się w poczet członków i abonowały dziennik stowarzyszenia, którego tytuł jest: „Nasze pismo“.

Około godz. 9 1/2, zgabił zebranie lokaj Book, szasząc na wstąpię, że zgromadzenie nie ma bynajmniej charakteru socjalno-demokratycznego „bo nie w drodze dzikiej agitacji, lecz na drodze legalnej starać się trzeba o równoprawienie służby z innymi ludźmi“. (Brawo!)

Następnie zabrała głos pani Meta Schlesinger, dentystka i współopracowniczka „Naszego pisma“. Mówiła ona między innymi tak:

„Gdyby państwo dobrze obchodzili się z sługami, dostarczali im zdrowych sypialni, przyznali więcej czasu do odpoczynku i rozrywki, a wreszcie nie wymagali pracy po nocach, to zatarg byłby odrzucony. Ja wzywam pań i służące do zawarcia pokoju i wołam: „Brou do poohwy!“ (Huczne brawo).

Naczelnik redaktor „Naszego pisma“ pan Perlman, żądał, aby słowo „służba“ zastąpić wyrazem „personal domowy“ i aby skasować tan zwane świadectwa, czy też cenzury dla służących. W końcu przemówienia swego rozpoczął najstraszniejsze jermianiny nad losem sług. „Patrzcie — mówił on — na życie wasze, nie wiem zaiste, gdzie się człowiek zaczyna, a gdzie niewolnik się kończy. (Długotrwałe oklaski i wołania: Prawda!) Berlińskie kantory strzeżone to prawdziwie targo niewolnie. Dlaczegoż to służącej nie wolno mieć narzeczonego? (Głosy: Mamy prawo do tego!) Daleki jestem od tego, aby wam doradzać porzucenie miotły, ale wzywam was do organizacji. Żądajcie większych zarobków i lepszego traktowania was“.

Po tych urzędowych mowkach, rozpoczęły się występy samych sług, które skarżyły się na niezdrowe sypialnie, na małe zarobki i brutalne traktowanie ich. Nie brakło w tem wszystkim naturalnie komicznych epizodów, mianowicie wtedy, gdy mówcy nie zaoferowały opowiadać z władoiwą bohaterką rondla gwałtownością o różnych sporach między kuchnią a salonem i o „głupich i złych paniach“. Koniec końców przyjęto rezolucję opiewającą, że dzisiejsze przepisy, regulujące stosunek służby do państwa są złe i należy zmienić je koniecznie.

Czytając to wszystko, zdawałoby się, że mogło istotnie, że położenie służby kobiecej w stolicy niemieckiej jest wprost nieznosne. Tymczasem wystarczy raz jeden przepędzić chwil kilka w kantorze strzeżonej i posłuchać targu między „państwem“ a służącymi, aby zrozumieć, że „panie od miotły“ zasługują raczej na miano „tyranek“ niż „niewolnic“.

Pisma humorystyczne, a „Fliegende Blätter“ na czele zamieszczają prawie w każdym numerze jakiś dowcip, charakterystyczny pretensjonalności służby kobiecej, a biura polityjne Berlina mogłyby o tej płaszcze opowiedzieć mnóstwo zajmujących szczegółów.

Słuchając w kantorze strzeżonej dyalogu między służącą a panią ma się istotnie wrażenie, że pierwsza jest jakimś sądzim groźnym a druga delikwentką. Oto typowe pytania, które „niewolnica“ zadaje przyszej swojej pani:

„Ile pokoiów pani zamieszkuje? Na którym piętrze leży mieszkanie? O której godzinie państwo wstają? Co otrzymam na drugie śniadanie? Suchych bułek nie jem. Gdzie się znajduje sypialnia moja? Ile pani ma dzieci? Ile razy w tygodniu będę miała wychodnie? Czy pani dzieci są grzeszne i czy nie trzeba ich często myć i ubierać? Czy wolno wieczorami przyjmować wizyty męskie? Czy schody szoruje stróżka? Czy pani przyjmuje wiele wizyt? Czy w liczbie gości przeważają panie czy panowie? Czy otrzymam własny klucz od kamienicy? Przecież dywanowa sama trzepać nie potrzebuję? Czy pani przypadkiem nie kłamie, bo znam już takie panie, które wszystko obiecywały, a potem nie nie dotrzymały?“

To zwykłe pytania, które „niewolnica“ zadaje swojej przyszej pani. A są i takie, co żądają, aby ich rower mógł stać w przedpokoju.

Franciszek Zima

dawny dyrektor lwowskiej gal. kasy oszczędności umarł nagle w Czwartek około godziny dziesiątej w nocy w celi więzienia śledczego, mieszczonego się w zabudowaniach sądu karnego lwowskiego na ul. Batorego,

W ostatnich dniach Zima został umieszczony w sali z niejakim Władysławem Czerwińskim, cukiernikiem ze Stanisławowa, oskarżonym o sprzeniewierzenie.

W czwartek o godz. pół do dziesiątej w nocy krzyk przerażenia i rozpaczliwe jęki, wydobywające się z ich kazi, szalaarmowały dozorcę, pełniącego służbę na korytarzu. W towarzystwie jednego z kolegów udał się do celi i ujrzał Zimę wyciągającego się na przycy w straszliwych kuroczach, z posiniąłą twarzą. Obok niego stał błąd z przerażenia Czerwiński.

Natychmiast posłano po pomoc lekarską, lecz zanim zawezwani lekarze dr. Hilary Gabel i dr. Edward Schmidt przybyli, Zima wydał już ostatnie tchnienie.

Czerwińskiego przeniesiono do innej kazi, a celę ze zwłokami Zimy i wszystkimi rzeczami, które się w niej znajdowały opieczątowano.

W Czwartek przez cały dzień Zima czytał książki. W południe w obecności sędziego śledczego widział się z żoną, zięciem i dziećmi. Rozmawiał z nimi bardzo krótko, a poogwał się nadzwyczaj cennie. Obiadu prawie nie tknął, a nad wieczorem żądał syfony woły sadowej, którego dozorca bezwzględnie mu dostarczył. Syfon ten wypił z wielkim smakiem.

